Nr 5. Kraków, 31 Stycznia 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.
Administracya w księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna.
Redakcya ul. Szewska Nr. 5.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:
w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »
z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O Rusi i Rusinach.

II.

Ruś w połączeniu z Polską.

Za króla Jagiełły i jego potomków, przez lat blisko dwieście nie znać żadnej między Polakami a Rusinami nieprzyjaźni. Na ogromnych, bardzo żyznych, a mało zaludnionych przestrzeniach ruskiej ziemi, osadzała się licznie polska szlachta, za nią i lud roboczy; rzemieślnik i kupiec ciągnął do miast. Bogacili się tam Polacy szybko, ale Rusini patrzali na to bez zawiści. Krzywdy przez to nie mieli, bo ziemi i dostatku starczyło dla wszystkich: a korzyść mieli wielką, bo im gęstszą stawała się ludność, tem większa nadzieja obrony przeciw napadającym ustawicznie z Krymu Tatarom: tem więcej miast oszańcowanych i zamków. Szlachta ruska przyjmowała chętnie obyczaj polskiej, która była więcej od niej oświecona i ogładzona, a w swobodach, jakie jej polskie prawa zapewniały, czuła się szczęśliwszą, niżeli dawniej pod samowolnymi rządami swoich książąt. Lud prosty, choć do powinności poddańczych obowiązany, nie był niemi wtedy jeszcze przeciążony. Łączył się też niekiedy (głębiej na Ukrainie) dla bezpieczeństwa swoich siedzib w zbrojne drużyny, które były początkiem późniejszej kozaczyzny. Rodowej, plemiennej nienawiści, z powodu czy krwi, czy języka, czy wiary, w tych czasach nie widać. Z kancelaryi królów polskich wychodzą często do ruskich poddanych pisma w ich języku: małżeństwa łączą jednych z drugimi związkami krwi i przyjaźni. Podnosi się uprawa roli, bogactwo i handel, miasta kwitną, ludność dwóch szczepów miesza się z sobą coraz bardziej; wpływ i obyczaj polski, polska oświata i prawo wsiąkają coraz bardziej w ruską ziemię, a Polacy jak Rusini czują i wiedzą, że mają jedną wspólną ojczyznę, a żadnej innej mieć ani znać nie chcą.

Jeden z naszych najlepszych pisarzy historyi polskiej, Karol Szajnocha (zmarły we Lwowie przed laty przeszło dwudziestu), opowiada w swoich dziełach, jak Ruś polszczała, a przykład tego polszczenia daje na losach jednej rodziny:

Żył gdzieś pod Chełmem szlachcic jeden ruskiego pochodzenia a greckiej wiary, nazywał się Fedor Wereszczyński. Jego żona miała dwóch braci, obu w stanie duchownym: ale kiedy jeden został w swojej wierze, drugi przeszedł na katolicką i był kanonikiem w Krasnymstawie. Siostra tych księży a żona Wereszczyńskiego, spodziewała się połogu, a wtedy oba bracia o tem tylko myśleli, żeby w swojej wierze ochrzcić to dziecko, które miało przyjść na świat. Trafem jakimś kanonik katolicki znalazł się w domu zaraz po urodzeniu, i ochrzcił chłopca po katolicku. Ojciec, schyzmatyk twardy, gniewał się o to bardzo, a nawet stracił całkiem serce do biednego małego łacinnika, tak że go i chować nie chciał. Wziął tedy wuj kanonik małego Andrzeja do siebie, wychował, a potem oddał do wojska. Młodzieniec bił się dobrze, odznaczył się pod Obertynem, potem ożenił się majętnie, a wtedy wybrał się do ojca, żeby jakoś jego łaskę pozyskać. Cóż tam zastał? Gospodarstwo w nieładzie, pola nieobsiane, starych rodziców w kłopotach i prawie w biedzie. Ale że sam był i dzielny, i zasobny, i zdrów i młody, więc zaczął zaraz ojca w gospodarstwie wyręczać, własnym groszem i pracą i głową doprowadził majątek do porządku, ojcom spokojną, szczęśliwą starość zapewnił: i zacięty Rusin przed śmiercią dziękował Panu Bogu za to, że mu się syn zlaszył... Tak Ruś polszczała. Wpływem większej oświaty i sprawności, dobrodziejstwem obrony i bezpieczeństwa.

Dom Jagielloński wygasł, na tronie polskim zasiadł Stefan Batory, i między wieloma mądremi i wielkiemi dziełami zajął się także i sprawami Rusi.

Powiedzieliśmy już, że poniżej Kijowa, po obu brzegach Dniepru, w pustych stepach osiadali ludzie, których nazywano Kozakami. Byli między nimi i Polacy (szlachta jak włościanie), i Wołosi, i Węgrzy, i czasem nawet Tatarzy, ale najwięcej Rusinów. Dużo zaś było takich, co nie mieli z czego żyć, lub zmarnowali to co mieli, i nie wiedzieli co z sobą począć. Liczba ich pomnożyła się znacznie w ciągu stu lat. Był

to ludzie do boju odważni, do napaści skłonni, hardzi, zuchwali, chciwi łupu, a przywykli żyć w nieograniczonej swobodzie, bez żadnej nad sobą zwierzchności. Żyli z polowania, rybołostwa i wypraw wojennych: uprawą roli prawie się nie trudnili. Taki lud zbrojny a zuchwały, mógł się stać bardzo niebezpiecznym, bo i sąsiednie województwa polskie mógł napadać, i częstemi wyprawami na brzegi Czarnego Morza, na tureckie miasta, mógł zawsze dać Turkom powód do wojny z Polską. Król Batory niebezpieczeństwo to widział, a razem miarkował, jak ten lud wojenny, a na pograniczu osiadły, mógł doskonale zasłaniać Polskę i Chrześcijaństwo całe od Tatarów: byle go tylko w ścisłej wojskowej karności utrzymać. Ta część Kozaków, która mieszkała na prawym (bliższym od nas) brzegu Dniepru, była zawsze spokojniejsza; dała się podzielić na pułki, i służyła za taką graniczną wojskową załogę. Ale Kozacy za Dnieprem żyli po żołniersku, w wielkim obozie, który nazywali Siczą. Żon nie mieli, a nad sobą nie uznawali nikogo, prócz Hetmana, którego sobie sami wybierali. Ci i za Batorego w porządne karby ująć się nie dali: ale przynajmniej jak długo on żył słuchali go, nie zaczepiali nikogo, a mogli się bardzo przydać w wojnie przeciw Turkom, którą król z Papieżem Syxtusem Piątym potajemnie przygotowywał.

Po śmierci Batorego zaczęły się te sprawy psuć. Im więcej przybywało ludności na Ukrainie, tem była większa potrzeba uprawy roli, żeby tę ludność wyżywić. Z tego wynikło, że miejscowy lud aż dotąd do powinności poddańczych nie nawykły, musiał je odrabiać, jak w całym kraju, i jak w owych czasach na całym świecie. Co zaś było gorsze, to że tam na Ukrainie leżały ogromne majątki wielkich panów, którzy sami zamieszkali daleko, ziemie te oddawali w zarząd zawiadowcom lub dzierżawcom, a ci nie pilnowani jak należało, zdzierali ludzi, krzywdzili i uciskali ich często na różne sposoby. Do dziś dnia lud tamtejszy z gorżkim żalem wspomina takiego dzierżawcę żyda, który trzymał u siebie klucze od cerkwi, a za otworzenie jej na nabożeństwo kazał sobie płacić.

Takie były powody żalu i gniewu Rusinów. Ale miała i Polska swoje znowu powody żalu do Kozaków. Zaczepiali oni ustawicznie to Tatarów, to Turków: a że byli poddanymi Rzeczypospolitej, więc za te zaczepki mścili się na niej Bisurmanie. W ciągu pięciu lat miała też Polska pięć napadów tatarskich, spowodowanych kozackiemi zaczepkami. Postanowiła tedy trzymać ich w lepszem posłuszeństwie. Kozaków osiadłych, (na prawym brzegu Dniepru) oddała pod rozkazy Hetmana koronnego (naczelnego wodza wszystkich wojsk), a tych drugich Zadnieprskich zaczęła ujmować w wojskowy porządek, spisywać i dzielić na pułki. To się Kozakom nie podobało. Dwa razy podnosili oni bunt. Ten był zaraz stłumiony: ale żal i niechęć zostały i odezwały się później.

W tym samym czasie dokonała się rzecz wielka i doskonała, która mogła mieć skutki błogosławione i trwalsze niżeli miała, gdybyśmy tylko byli ją pielęgnowali gorliwiej: Unia kościelna.

Katolicka i wierna Polska miała połowę swoich poddanych w obcej, fałszywej, greckiej wierze. Gwałtem ich do swojej nawracać nie myślała, bo to się nie

---

HISTORYA
O KŁÓTNIACH SZELIGÓW I BERDYSZÓW,

dwóch kmiecych rodzin w Gajowie,

4 i jak się pogodzili ze sobą.

(Ciąg dalszy)

Baśka nic nie odpowiedziała, jeno zaczerwieniła się znowu. I ona uważała, że Janek szwarny i nieszpetny chłopiec — i dziwnie jej się na sercu zrobiło.

— Puśćże mnie już, puść! zawołała. Śpieszy mi się do chałupy, trzeba śniadanie gotować.

Ale Janka coraz bardziej dyabeł kusił, aby dziewuchę pocałować. Porwał ją, przycisnął już do siebie, kiedy Baśka jak szarpnie sobą, jak pchnie Janka, tak to się ten dopiero opamiętał, kiedy była już na drugim końcu pastwiska. Odwróciła się więc jeszcze i krzyknęła do niego:

— Nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło!

Janek został na miejscu i długo myślał o Baśce. Wjechała mu do łba piękna dziewucha, jak fura siana, a chociaż jej nie cierpiał jako Szeliżanki, to musiał przyznać, że jako dziewucha była pierwszą we wsi. Westchnął więc i powiedział sobie po cichu:

— Co za szkoda, tęga i robotna dziewka, ale Szeliżanka!

Co Baśka myślała, nie wiem. To pewna, że już nie poszła odpętywać konie Jankowi. Janek czekał na to, bo myślał, że drugi raz lepiej mu się kara uda; ale nie mógł się doczekać. Kiedy się spotkali gdzie razem, nie patrzeli już jak zbóje na siebie, ale też jakoś nie patrzeli wcale. Baśka tylko raki piekła, a Jasiek się za nią oglądał. Kilka razy zdobył się nawet na grzeczne słowo, kiedy nikt nie słyszał, Baśka także grzecznie odpowiadała.

Tymczasem Walek Kuternoga nie zasypiał gruszek w popiele. Od czasu ostatniej bitki w karczmie, nie wiedzieć dla czego, uchwycił się Szeligów wyraźnie i u Berdyszów nie bywał. Pewnie mu się zdawało, że się dziewucha w nim zakochała. Jak się też przypiął do starego i córki — ani daj Boże odsadzić natręta. Całemi dniami siadywał w chałupie Szeligi, a że był mądry

godzi: to nie chwała lecz obraza boska, a nad ludźmi okrucieństwo. Ale miała Polska święty obowiązek dbać o zbawienie tych swoich poddanych, i łagodnymi sposobami starać się o to, żeby oni do prawdziwej wiary wrócili. Kiedy więc uporała się już z luterstwem, tak że ono nie tylko nie szerzyło się dalej, ale owszem w oczach malało i do jedności z Kościołem wracało, zaczęła Polska myśleć o nawróceniu schyzmatyckich Rusinów. Już Stefan Batory szukał sposobu, jakby to zrobić bez przymusu, uczciwie, a pewnie. Za jego następcy Zygmunta III znalazł się ten sposób. Pracowali nad tem gorliwie katolicy polscy, pracował zakon Jezuitów (a zwłaszcza wielki kaznodzieja ksiądz Skarga), i pracował Papież w Rzymie. Ten miał nadzieję, że nawrócenie Rusinów będzie początkiem nawrócenia wszystkiah schyzmatyków, (moskiewskich, greckich i Słowian południowych, Bułgarów i Serbów). Wiedział zaś, że byle wiara była jedna i tasama, to Kościół pozwala na rozmaity zewnętrzny kształt nabożeństw, czyli obrządek. Za czasów kiedy Kościół był jeszcze jeden i nierozerwany, Grecy odprawiali Mszę św. w swoim języku i w porządku innym, jak nasz łaciński: Słowianie (ruscy czy południowi) także. Wiedział zaś Papież, Klemens Ósmy, i wiedzieli Polacy, że te wszystkie narody bardzo są przywiązane do swoich obrzędów; i myśleli, że gdyby im się zostawiło ten obrządek, a nawet dla księży wolność żenienia się*), to w takim razie może oni wiarę katolicką przyjmą i Papieża za Głowę Kościoła uznają. Zaczęto więc naradzać się z biskupami ruskimi, czyby oni z ludem swoim pod tymi warunkami do jedności Kościoła nie wrócili. Było ich kilku bardzo tej sprawie przychylnych i w niej gorliwych, mianowicie: Biskup Włodzimierski Hipacy Pociej, Biskup Łucki Cyryll Terlecki, a nadewszystko Metropolita (arcybiskup) kijowski Weliamin Rutski, i arcybiskup połocki Józafat Kuncewicz (później męczennik i święty). Odbył się tedy synod tych wszystkich biskupów w Brześciu Litewskim w roku 1595, i na tym synodzie oni Unię kościelną przyjęli i zaprzysięgli, i do Papieża posłów z oświadczeniem posłuszeństwa wyprawili. Wszelako wielu świeckich, i dwóch biskupów z dyecezyami swemi (lwowski Ballaban i przemyski Kopystyński) nie przystali na Unię, i w schyzmie greckiej jeszcze na lat sto dwadzieścia zostali. Ci z Rusinów, którzy do Unii nie przystali, a było ich dużo, powzięli za nią głęboką nienawiść do Polski, do katolickiego Kościoła i duchowieństwa, a zwłaszcza do Jezuitów. I w tym był powód drugi ich późniejszych buntów. Czy ich Polska w tej sprawie krzywdziła, gwałtem do swojej wiary zmuszała, jak niektórzy z nich dziś mówią i piszą? Broń Boże! Przymusu, gwałtu, prześladowania, nie było żadnego. Nikogo o wiarę nie pozywano, nie sądzono: nikogo za nią nie zamykano w więzieniu, a tem bardziej nie skazywano na śmierć, co się w innych krajach w owym czasie zdarzało. Grzechu prześladowania i gwałtu Polska nie ma na sumieniu: ale ma inną ciężką winę — zaniedbanie. Zrobiła ona rzecz wielką, która i Kościołowi i jej mogła wyjść na największą chlubę i korzyść: ale zro-

*) Księża ruscy mogą mieć żony, ale muszą je pojąć jeszcze przed przyjęciem święceń kapłańskich. Ksiądz, który owdowiał, już się powtórnie żenić nie może. Biskupem może być tylko bezżenny.

---

człek, więc od rodziców zaczynał. Stary Szeliga czasem całemi godzinami radził z Walkiem i widać było, że radzą o skórze Berdyszów. Walek obiecywał Szelidze złote góry: obiecywał, że wygra proces o role obydwie, a do dworu wynalazł liczne pretensye, które miały zachodzić między kmiecą rolą starego i gruntami pańskiemi. Sam Szeliga śmiał się z początku z konceptów Walka i nie wierzył, aby to, co od wieków było pańskiem, miało stać się jego własnością; ale jak mu Kuternoga jął dowodzić z patentów, których nie rozumiał, i strzępić niemieckiemi słowami, których się gdzieś tam na pamięć nauczył, tak aż podskoczył z radości, bo był człek łakomy i pieniacz. Żebyście wiedzieli, jakto tacy, niby mądrzy ludzie, przekręcają prawo i obracają niem jak szewc kopytem, to wam tu jedną przywiodę rozmowę. Walek siedział nad mapą gromadzką i szukał parceli w książce. Szeliga, który nie wiele rozumiał, co znaczy mapa i jak wieś może być wymalowana na kawałku dyktury, pykał sobie fajeczkę i dolewał Walkowi piwa do szklanicy.

— Mój wielmożny panie wójcie! — mówił Walek, bo tak Szeligę nazywał — ja tutaj tak uważam, że wy macie prawo do pastwiska pańskiego, co to poniżej waszego pola, gdzieście łońskiego roku mieli pszenicę.

— E! gdzieby ta, — odrzekł wójt, ale widać było, że się rozciekawiał. — To tylko pan pozwolił mi paść na tym kawałku, że mi było blisko.

— I wyście paśli?

— A juźcić!

— A odrabialiście?

— Ej nie! To niewielkie kawałątko, to pan pozwolił paść na niem bez odrobku, za to żem pierwszy wysyłał ludzi do żniwa.

— Aha! otóż mamy *recht*. A dawno już?

— Będzie z dziesięć lat.

— Ho! ho! *preskrypcya!* To pastwisko wasze! tak stoi w patencie *Oberstergerychtkommissionsgerychtu*. A na wielkiem pastwisku czyście także paśli?

— No juźciż, mój parobek nieraz pasał, choć nie było wolno.

— I widzieli go?

— A dyć go nieraz spędzali Berdyszanie.

biwszy ją powinna była starać się o to, żeby ta Unia pociągała do siebie i przywiązywała ludzi nietylko za przekonanie i za serce, ale nawet za pożytek. Należało duchownym a zwłaszcza biskupom unickim, nadać taką powagę i znaczenie, jak mieli łacińscy. Należało przedewszystkiem przyznać im miejsca w polskim senacie, co oni sobie zastrzegli, i co im było przyrzeczone. To się nie stało. Szlachta ruska była już w wielkiej części przeszła na wiarę katolicką z obrządkiem łacińskim: o dostojność więc i znaczenie obrządku greckiego nie troszczyła się; lud prosty, mieszczanie, lub uboższa szlachta unicka nie mogli temu obrządkowi dać czynnej i skutecznej opieki, i ztąd poszło, że on został w pewnem poniżeniu i upośledzeniu. Czuł je żywo, a po wiekach odezwało się w nim to uczucie — na naszą szkodę.

Z tego zaś gniewu na Lachów, katolików i Jezuitów, jaki był w Rusinach schyzmatykach, skorzystał zręcznie kto inny: car moskiewski. Od czasu, jak się z pod Tatarów wyzwolili, myśleli ci wielcy książęta, a później carowie o tem tylko, jakby ruskie kraje od Polski oderwać, a do swego państwa zagarnąć. Ale nasi królowie bronili się dobrze i skutecznie. Teraz kiedy carowie zobaczyli w Rusinach schyzmatykach niechęć do Polski o Unię, postanowili za tę niechęć ich uchwycić i pomału do siebie ciągnąć. Pod pozorem tej samej (niby uciśnionej i prześladowanej) wiary, zaczęli użalać się niby nad nieszczęśliwymi, a jątrzyć i rozpalać w nich nienawiść do Polski i do Kościoła. Za ich to sprawą, z ich namowy, rozjuszone pospólstwo zamordowało w Witebsku Arcybiskupa Połockiego Józafata Kuncewicza (1623) i pastwiło się okrutnie nad jego ciałem *). *(C. d. n.)*

*) Ale ciało to zaraz po śmierci Bóg cudami odznaczył, i wskazał jako ciało świętego. Za takiego też czczony, przez Papieża Urbana Ósmego uznany błogosławionym, przez Papieża Piusa Dziewiątego w roku 1867 był kanonizowany czyli ogłoszony za Świętego. Ciało jego z obawy, żeby go Moskale nie wyrzucili i nie znieważyli, wywiezione było z Połocka i złożone w Białej na Podlasiu. Ztamtąd zabrali Moskale święte relikwie, gdy zaczynali swoje ostatnie prześladowania Unii, a co z niemi zrobili, niewiadomo.

„Pomagaj sam sobie — a Bóg ci pomoże".

Z pod Przeworska.

Pod tem pełnem przestrogi i nauki zdaniem, przychodzimy po raz pierwszy do *Krakusa*, by pogawędzić z jego Czytelnikami o tem, jak łatwo poradzić sobie w złych chwilach, jeżeli się zawczasu o tem pomyśli. Nie będziemy mówili do takich, co dbają tylko o to, aby dziś mieli co zjeść i czego się napić, a zapominają o jutrze. Ale chcemy pogawędzić z takimi, co patrzą poważnie w przyszłość, co wiedzą, że przyjdzie starość, że może przyjść nieurodzaj, że nie trudno o chorobę, lub co broń Boże o grad i ogień, który zniszczy dobytek. Chcemy pogawędzić i z takimi, co kochają dzieci swoje i pragną, aby im się dobrze wiodło, a więc chcą im zabezpieczyć kawałek chleba.

Najczęściej i w przeważnej ilości wypadków oraz nieszczęść, nie od nas zależy im zapobiedz, nie w na-

---

— No to znowu *recht!* kiedyście pasali, toście używali, to wasze.

— A karczma pańska stoi pono na waszym gruncie?

— Ej, to jeszcze dziadkowi pan nieboszczyk dał za to dobry kawał pola za górą.

— Że dał to dał, ale karczma i grunt wasz.

— No kiedy preskrypcya? jak gadacie.

— Tu niema preskrypcyi, mówi *Oberstergerychtkommissionsgerycht*. Ludzie mają mało, a pan dużo, to go nieszkoda.

Szelidze się to niby podobało, chociaż spojrzawszy na Pana Jezusa na ścianie, przypomniał sobie: że cudzą własność szanować potrzeba. Że zaś Walek tylko prawnika udawał, każdy wam powie co umie po niemiecku, że *Oberstergerychtkommissionsgerychtu* niema na świecie, że tylko Walek sobie kilka słów do kupy zlepił, aby ludziom oczy mydlić. A także niema na świecie takiego prawa, coby komu złodziejstwo i szkodnictwo pochwalało, bo prawa z wiarą świętą i przykazaniami boskiemi zgadzać się muszą, a dziesięcioro Bożego przykazania starsze i świętsze od każdego prawa. Z tego nauka, że choćby was tacy mądrale jak Walek namawiali do prawowania się o własność czyją, to nie dajcie się namówić, bo człowiek z niczyjego nie będzie tłusty, jeno ze swego. Lepsze własne swoje a prawowierne, niż bogactwa a cudze. Jeśli wam zaś mówią, że pana nieszkoda, bo ma dużo, to pamiętajcie, że tak samo może jutro powiedzieć pierwszy biedak w obdartej sukmanie bez butów, coby wołał siedzieć w waszej zagrodzie. Miła ci twoja kapota i grunt po ojcach, miły też i panu jego surdut, dwór i grunta pańskie. Tacy ludzie jak Walek, nie rozumieją ani boskich, ani ludzkich praw, dlatego trzeba ich omijać jak owce parszywe.

Ala chociaż Walek ze Szeligą dnie całe siadywał, to i o Baśce nie zapomniał. Wodził on za nią łakomem ślepiem, jak kot za myszą, albo lis za kokoszką, a jak ją gdzie spotał, nuż smalić cholewki, nuż się przysuwać, nuż komplimenta gadać. Chociaż był skąpy, przywoził jej z każdego jarmarku i kiermaszu gościniec: to paciorki na szyję, to chustkę jedwabną, to pierścionek albo kolczyki tombakowe. Baśka za każdą razą rzucała darami Walka o ziemię.

szej jest mocy odsunąć je od siebie; dzięki jednak zapobiegliwości ludzi z rozumem i z dobrą wolą, mamy już od wielu lat sposoby i środki zmniejszenia lub zupełnego naprawienia tego złego, jakie niespodziewane klęski zawsze sprowadzają. Od nas samych zależy użycie tych sposobów, zaopatrzenie się w te środki: należy tylko myśleć o przyszłości i o tych chwilach możliwej złej doli, bo każdy z nas odpowiednio do majątku i stanu swego, *pomagając sam sobie*, może się od złego zasłonić, przed stratami lub zupełną ruiną — zabezpieczyć.

Samo z siebie przyszło nam już drugi raz pod pióro to słowo, które ma stanowić treść pogadanki naszej; środek bowiem, przez którego użycie może nam być zwrócone to, co przez doznaną klęskę utracić musimy, którym o wiele więcej będzie nam oddane niż wniesiemy czyli zapłacimy corocznie, środek ten dobroczynny, to *ubezpieczenie*, czyli *asekuracya*.

Dobrodziejem prawdziwym był ten dla ludzi, kto pierwszy podał sposób takiego zabezpieczania się i zapewniania sobie lepszej przyszłości, a prawdziwie nieoględnym i wrogiem własnym, oraz rodziny swojej jest ten, kto z tych dobrodziejstw nie spieszy korzystać, mając ku temu ułatwienia, jak to poniżej wyjaśnimy.

Nie będziemy zajmowali naszych Czytelników opisami i przypominaniem całej grozy klęsk pożaru lub gradu, oraz okropnych ich skutków, boć to każdy wyobrazić sobie jest w stanie, a niejeden pewnie niestety sam przeszedł przez takie biedy. Każdy wie zatem, co to jest znaleźć się niespodziewanie bez dachu i bez dobytku, albo co to jest ujrzeć się bez żniwa i bez plonu; nie tylko trzeba się odbudować i kupić wszystko, ale trzeba jeszcze przez rok cały żyć z grosza zamiast ze spiżarni. O ileż to lżej i swobodniej i prędzej da się zrobić, jeżeli cała szkoda, która powstała z płomieni i z dymu, lub jeżeli cała strata zgniecionego gradem zboża, zostanie gotówką zwrócona. Jakaż to wielka różnica pomiędzy dwoma dotkniętymi klęską, z których jeden był, a drugi nie był zabezpieczonym. Kto dobrej woli i wiary, sam sobie w myśli tę różnicę dopowie, my zaś skreślimy jeszcze, jako przypomnienie dla wiedzących, a pouczenie dla niewiedzących, gdzie i jak, oraz pod jakimi warunkami zabezpieczyć się można.

U nas w Galicyi jest jedno Towarzystwo, w którem zabezpieczać się należy, które założone i prowadzone jest wyłącznie dla dobra i korzyści swoich Członków, a tem jest pod godłem św. Floryana „Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie“, mające swoich agentów czyli zastępców w całym kraju i to tylu już, że nie ma miasta ani miasteczka, gdzieby jeden taki agent, załatwiający wszystkie sprawy ubezpieczeń, nie mieszkał. Innych agentów, namawiających do ubezpieczenia w obcych Towarzystwach, nietylko nie możemy zalecać, ale nawet przestrzegamy przed nimi każdego, bo to są zastępcy interesów niemieckich, czeskich, węgierskich, angielskich i amerykańskich nawet, a każdy pojmie łatwo, że taki cudzoziemiec nie przychodzi do naszego kraju z miłości dla naszego narodu, ale z miłości dla własnej kieszeni; jest więc rzeczą naturalną, że takie obce Towarzystwa muszą myśleć więcej o sobie i o własnych zyskach niż o członkach zabezpieczonych. Krakowskie natomiast Towarzystwo, zwane także „Floryanką“, założone dla kraju przez ro-

---

— Nie potrzebuję nic od ciebie, noś sobie innej a nie mnie.

— Oj! moja Basiu prześliczna, gadał Walek, czemużeś ty taka harda? Chociażem już nie młody i nie wykręcam się na pięcie, tom stateczny i uczciwy człowiek, a chłopu trzeba patrzeć na stateczność. Cóż tam przyjdzie z tych zawalidrogów i bijaków, co to cały dzień w karczmie przesiedzi, a w nocy żonę bije i garnki tłucze? Jabym ta o biciu nie myślał — dodał uśmiechając się bezwstydnie.

— A ja o tobie myśleć nie chcę i nie będę. Znam ja cię lepiej jak cała wieś, mój mądry pisarzu, żeś ty trusia niby i stateczny, ale fałszywy i zły jak kot! Połykasz ty ślinkę, bo widzisz, żem jedynaczka, a kmieca rola niczego! Ale poczekaj sobie mądralu, nie taka ja głupia, żebym sobie dla takiego obieżyświata świat zawiązała. Chybabym też oczy podziała, żebym takiego rudego łba miała dostać.

— Ho! ho! moja panienko, — odrzekł Walek, wściekając się od złości — widać ci jakiś chłopak do głowy wjechał.

— Czy wjechał, czy nie wjechał, tobie nic do tego.

— Właśnie, że mi do tego, bo ja ojcu powiem. A wiem, wiem kto to taki.

— A któż? — zapytała Baśka ciekawie.

— Jasiek Berdysz — szepnął Walek Baśce do ucha. — Nie w ciemię mnie bito, moja panno: widzę wszystko. Kłócicie się to niby i robicie sobie na despekt, ale jedno za drugiem jak zapalił.

— Oj mędralu, mędralu, przecież ty głupi — zawołała Baśka czerwieniąc się. Widać było, że się jakoś nieszczerze zapierała.

— No! że Berdysz się z tobą nie ożeni, to jak to słonko na niebie świeci.

— A że ty się ze mną nie ożenisz, to tak to prawda, jak że masz rudy łeb i kulawą nogę.

— Zobaczymy! rzekł Walek.

— Zobaczymy! odpowiedziała Baśka.

(C. d. n.)

daków naszych, nie tylko nazywa się *wzajemnem*, ale ściśle dotrzymuje tej nazwy, to jest, że oparte na wzajemnych interesach tych wszystkich, co do niego należą, co roku zwraca zyski, rozdzielając je pomiędzy stowarzyszonych, stosownie do wpłaty przez każdego wśród roku wniesionej. Towarzystwo to, które prawdziwie *naszem* nazwać musimy, istnieje już przeszło od lat trzydziestu, a założone przez obywateli tego kraju, ciągle przez Polaków tylko rządzone, wielkie już w Galicyi oddało usługi, znaczne bardzo pieniądze wypłaciło dotąd zabezpieczonym a poszkodowanym. Każdy agent Towarzystwa jest na to ustanowiony, by zapisywał zgłaszających się, udzielał najszczegółowszych wyjaśnień, przyjmował opłaty i szkody obliczone po klęsce wynagradzał.

Zanotujemy tutaj główne warunki, pod jakimi zabezpieczać się można. I tak:

W dziale ogniowym, od każdych złr. 100 wartości budynku:

Za domy mieszkalne murowane słomą kryte	rocznie po	90	ct.
„ stajnie i stodoły murowane pod słomą	„ „	95	„
„ domy murowane gontem kryte	„ „	54	„
„ stajnie i stodoły murowane pod gontem	„ „	62	„
„ domy i budynki gospodarcze drewniane pod słomą . . .	„ „	100	„
„ domy drewniane kryte gontem	„ „	70	„
„ stajnie i stodoły drewniane pod gontem	„ „	75	„

Jeżeli w domach mieszkalnych są kominy z chrustu lub tarcic a nie murowane, wynosi opłata od każdych 100 złr. wartości po 15 do 20 ct. drożej.

W miasteczkach, w których zwykle budynki są więcej ścieśnione niż po wsiach, wynosi opłata cokolwiek drożej.

Jeżeli zatem posiada ktoś realność, złożoną z domu mieszkalnego, murowanego, krytego gontem, wartości złr. 400 i przytem ma stajnię, komorę i stodołę drewniane pod gontem wartości złr. 400, to dla zabezpieczenia tych budynków od szkody pożaru, opłaci rocznie około złr. 6, a z tego może z pewnością spodziewać się w roku następnym zwrotu $^1/_5$ części, czyli że za niespełna złr. 5 rocznego wydatku, może być zawsze spokojnym, że, choć P. Bóg ześle ogień na niego, to szkoda zwróconą mu będzie. Podobnie obliczyć sobie może roczny na ten cel wydatek każdy gospodarz i właściciel budynków większej lub mniejszej wartości. Jeżeli ma na przykład dom mieszkalny drewniany pod strzechą, oszacowany na złr. 200, oraz z tego samego materyału stajenkę i stodołę również wartości złr. 200, takiemu opłacać wypadnie rocznie na ubezpieczenie złr. 4. Prócz tego przez lat trzy pierwszych dopłacać będzie po 47 ct. na fundusz rezerwowy i na stempel rządowy. Po końcu jednak każdego roku, po przeprowadzeniu wzajemnych rachunków, zwróci mu się z tego znów $^1/_5$ część wkładki, a bywało, że zwracano i $^1/_3$ część tej wkładki.

Tem się też różni Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie od innych Towarzystw zagranicznych, że wszystkie zyski, które zostaną na końcu roku po wypłaceniu wynagrodzeń za pogorzele, rozdzielane są u nas między wszystkich zabezpieczonych, gdy tamte zagraniczne Towarzystwa pozostałe pieniądze chowają dla siebie.

Oprócz budynków można także ubezpieczyć od szkody ognia — inwentarze i sprzęty gospodarskie, opłacając za to tak samo, jak budynki. Płody natomiast rolnicze, jak zboże, paszę i słomę, ubezpiecza się zwykle na cztery do sześciu miesięcy, a opłata wynosi w takim razie:

po 50 ct. od złr. 100 wartości na 4 miesiące
„ 63 „ „ „ „ „ „ 5 „
„ 75 „ „ „ „ „ „ 6 „

Wobec tak małej opłaty, na którą każdy bez wyjątku zdobyć się może, czyż nie jest wrogiem własnym ten, kto się nie ubezpiecza od ognia i czyż nie powinniśmy wszyscy, kto tylko co posiada, być raz na zawsze ubezpieczeni? To rzecz wcale nie trudna — w porze łatwiejszego zarobku, po pierwszej sprzedaży ziarna lub przychowku, albo też po zbyciu wyrobu rzemieślniczego, pójść do p. agenta w miasteczku, podać mu do opisania całą realność i zabezpieczyć się na rok cały, przez który spokojnym i bezpiecznym być można, a po roku znów go o odnowienie prosić. *(D. n.)*

Grobowiec św. Wojciecha w Gnieźnie.

Krakus będzie podawał od czasu do czasu swoim Czytelnikom ryciny przedstawiające jużto sławne miejscowości w Polsce, jużto kościoły i święte pamiątki.

Na początek dajemy dziś rycinę wyobrażającą grobowiec i ołtarz św. Wojciecha w kościele katedralnym w Gnieźnie. Sławna to świątynia, nazywana matką kościołów polskich, bo Gniezno to jedno z najdawniejszych miast w Polsce, stolica Bolesławów, a katedra gnieźnieńska wzniesioną była przed 900 przeszło laty. Ztąd arcybiskup gnieźnieński był pierwszym w Polsce między biskupami, *prymasem*, rządzącym całą Polską podczas bezkrólewia, to jest kiedy jeden król umarł, a drugi jeszcze nie nastąpił.

Święty Wojciech, biskup pragski, którego życie później obszerniej opowiemy, przybył do Polski wezwany przez króla Bolesława Chrobrego, aby utwierdzać w wierze Polaków niedawno nawróconych i aby tępić pozostałe jeszcze pogaństwo. W r. 997 poszedł aposto-



Grób i Ołtarz św. Wojciecha w Katedrze Gnieźnieńskiej.

łować na Pomorze, odprawiwszy przedtem Mszę świętą w kościele gnieźnieńskim. Ochrzcił wielu ludzi w Gdańsku i popłynął statkiem do miejsca, gdzie rzeka Pregel wpada do morza Bałtyckiego. Wysiadł na brzegi pruskie i zaczął nawracać pogan. Ale dziki lud pruski, podburzony przez pogańskich kapłanów, rzucił się na świętego męża, który też znalazł śmierć męczeńską w d. 23. kwietnia 997 r.

Król Bolesław postanowił wykupić ciało świętego męczennika i dał za nie poganom tyle złota ile ono ważyło. Zwłoki zostały przeniesione do Trzemeszna, potem w r. 999 umieszczono je we wspaniałym grobowcu w katedrze gnieznieńskiej.

Ponieważ katedra niejednokrotnie paliła się i była przebudowywaną, przeto grobowiec św. Wojciecha kilkakrotnym ulegał zmianom. Dziś wygląda on tak, jak przedstawia nasza rycina. Wewnątrz pięknego ołtarza spoczywają w trumnie święte relikwie wielkiego apostoła-męczennika.

Korespondencya.

Z pod Tarnowa 27 stycznia.

Sprawę, o której tu zamierzam pomówić, znają wszyscy w całym kraju dobrze, wycisła ona łzy wielu ludziom, do nieszczęścia wielu doprowadziła. Temu, co powiem, pewno z całego kraju przywtórzą ludzie dobrego serca; a posłowie sejmowi, z gmin wiejskich wybrani, zajmą się tą sprawą, jak zajęli się tyloma innemi dla nas ważnemi.

Kto nie zna na wsi, czy w miasteczku, doli sieroty, oddanej w ręce niesumiennego opiekuna? Kiedy przyjdą zaraźliwe choroby, a przychodzą często i zabierają dużo ofiar zpomiędzy ludzi zdrowych i silnych, którzy nie potrzebowali paść przedwcześnie ofiarą śmierci, gdyby choć cokolwiek wierzyli w lekarza i leczenie się — to jakby anioł śmierci przeszedł przez wieś czy miasteczko. W wielu chatach zostaną drobne sieroty, biedne i nieszczęśliwe. O wtedy do opieki nad niemi garnie się wielu, jest dobijatyka gorąca, ażeby tylko każdy coś schwycił dla siebie! Wtedy to sieroty mają tylu krewnych, że gdyby każdy z nich chciał dać pozostałym bez ojca i matki po kawałku chleba i dobrą radę, to sieroty i wyżywiłyby się i na porządnych wychowały ludzi. Ale ci krewni, zlatujący jak kruki, oni nie dać sierotom, ale zabrać, rozszarpać między siebie chcą to, co opuszczonym z ubogiego mienia po ojcach zostało.

I tak się dzieje — sierotom zabierają ci opiekunowie wszystko i pędzą je potem w służbę między obcych, a sami obsiadają chatę i użytkowują z sierocińskiego pola. Sąd daleko — on robi swoje, co do niego należy, a opiekunowie swoje. Sąd przyszle papier, na którym się sieroty nie znają, a w Sądzie już ci kochani i czuli dla sierot krewniacy różne kłamliwe porobili zeznania. Wprawdzie wójt staje w sądzie z tymi krewniakami, ale wójcia, tak jak wszyscy ludzie, są lepsi i gorsi, a więc jeżeli się znajdzie mniej sumienny, to woli trzymać z krewniakami, bo się coś przy tem i dla niego okroi i na przepłukanie gardła znajdzie.

Kiedy dla takiego opiekuna przyjdzie ze sądu dekret opiekuńczy, to on już panem sierocińskiego gruntu i nie robi żadnej różnicy między tem, co jest jego, a tem, co do sierot należy. Tylko że swojego trochę szanuje, a sierocińskie patrzy jak najbardziej zniszczyć. A kto z takim opiekunem dojdzie do rozrachowania się? Chyba Pan Bóg na ostatecznym sądzie! Taki niesumienny opiekun wejdzie nawet w porozumienie z żydami, którzy nie wahają się kłamać, iż zmarli ojcowie sierot byli im tyle a tyle winni. Słowem, taki szatan-opiekun, co na taką drogę wszedł, nie zawaha się już przed niczem, byle sieroty do żebraczego doprowadzić kija, byle obrać je do szczętu. Sierota przed Sądem ustnie poskarżyć się nie może — bo tam wszystko na stemplu i napisane iść musi, a ona ani na stempel, ani na pisarza niema. Czytałem ja to, że nasi posłowie robią we Wiedniu starania, żeby w sądach ustne postępowanie zaprowadzili. Żeby to jak najprędzej zrobić się dało, toby na tem nietylko sieroty lepiej wychodziły i prędszą opiekę znajdowały. Strata to nasza wielka te pisaniny i pokątni pisarze. Ale o tem kiedyindziej.

Otóż kiedy tak sierota upomnieć się o swoje nie ma za co i nie ma świadomości, to nieraz i traci ojcowiznę zupełnie, zapomni o niej, przeniesie się do miasta, pójdzie w świat i skończy marnie. Kto się miał za nią ująć, kiedy ludzie mają tyle kłopotów swoich a nieuczciwi z mocniejszym trzymają. Jeden, drugi lepszy człowiek sarknie na takiego opiekuna i na tem się wszystko kończy, a wójt czasem taką kurzą ślepotę miewa cały rok boży, że jakoś nie widzi, co się za krzywda z sierotami dzieje.

Ale czasem zdobędzie się ukrzywdzona sierota jeszcze na tyle, że kiedy dojdzie do pełnoletności, pójdzie przecież do Sądu i po długich, ciężkich, kosztownych staraniach dojdzie do tego, iż wydany jej zostanie dekret dziedzictwa, ale znowu na ręce opiekuna lub wójta. Z powodu tego dekretu dziedzictwa tyle znów jest opłat i to dość wysokich — coś i w tej sprawie robią nasi posłowie, żeby te opłaty były mniejsze — tak że znów sierota nie może ich opłacić, albo opłaca za pożyczone pieniądze i grunt sprzedaje. Tak to biednemu zawsze pod wiatr, a ten wiatr, jak widzicie, bardzo sierotom u nas w oczy wieje.

Niechby nasi posłowie tę sprawę w sercu sobie zapisali i postarali się o to, żeby przy każdym Sądzie powiatowym był jeden urzędnik dla spraw sierocińskich,

a w Radzie powiatowej dwóch lub trzech zaprzysięgłych członków, coby spisywali zaraz po śmierci ojców inwentarz dla sierót, szacowali rzeczy i czuwali nad bezpieczeństwem majątku sierocińskiego — wreszcie żeby Sądy bezpłatnie i szybko załatwiały sprawy spadkowe, a należytości płacone były wtedy, kiedy sierota dojdzie do pełnoletności.

Tomasz Szumiec.

Wiadomości polityczne.

Rozwiązanie Rady Państwa.

Najważniejszym wypadkiem tygodnia jest rozwiązanie Rady Państwa w Wiedniu. Najjaśniejszy Pan polecił rozpisać wybory do nowej Rady w początkach Marca. U nas w Galicyi wybory odbędą się z gmin wiejskich d. 2-go Marca, z miast 4-go, z izb handlowych 6-go, a z wielkiej własności 9-go.

Główną przyczyną rozwiązania Rady Państwa są trudności powstałe przy doprowadzeniu do skutku ugody Niemców z Czechami. O tej ugodzie pisaliśmy już w *Krakusie*, ale nie zawadzi przypomnieć o co chodzi. W Czechach żyje tyle Niemców, co i Czechów, a tak jedni, jak i drudzy, mieli zawsze chętkę do kłótni i swarów. Ponieważ zaś dla państwa niezgoda między narodami jest szkodliwą, przeto rząd pomyślał o tem, aby te kłótnie mogły ustać i dlatego starał się przeprowadzić tak zwaną *ugodę*. Większość posłów czeskich z chęcią na to przystała i zdawało się, że lada chwila porozumienie nastąpi. Ale tak zwani *Młodzi Czesi* ani słyszeć nie chcieli o warunkach, jakie rząd przedłożył i jak zaczęli w kraju wichrzyć i ludność przeciw ugodzie namawiać, tak wybuchła ogromna niezgoda między samymi Czechami. Rząd próbował na sejmie w Pradze do zgody doprowadzić, ale Młodzi Czesi takiego hałasu narobili, że ani rusz było z nimi poradzić, a *Starzy Czesi* nie umieli się bronić i co krok ustępowali. Aż też doszli do tego, że nie znaczą już nic, i ani rząd ani kraj liczyć na nich nie może. Sprawiedliwa kara za brak odwagi i stałości. Rok temu przyjęli warunki zgody z Niemcami, które w sumieniu swojem uważali za korzystne dla Czech. Ale gdy ci drudzy, *Młodzi Czesi*, zaczęli krzyczeć i narodowi tłómaczyć, że *Starzy* go zdradzili, oni zamiast śmiało zaprzeczyć potwarzy, a robić to, co mieli za dobre, zaczęli się bać, cofać, i tym młodym ustępować. I dziś mają ten skutek, że i ugody niema i oni wszelki wpływ i powagę stracili. Ztąd nauka dla wszystkich, że krzykaczom i wichrzycielom trzeba się opierać statecznie i zawczasu, bo jak raz ludzi otumanią, to potem już przemódz ich trudno, a na kraj spaść mogą nieobliczone szkody z ich gospodarstwa.

Ponieważ sprawa ugody musiałaby przyjść pod obrady Rady Państwa, która za kilka miesięcy miała ukończyć swoje czynności, przeto rząd słusznie pomyślał: niech już lepiej nowa Rada, wybrana na lat sześć, tą sprawą się zajmuje. Z wyborów mogą wyjść nowi posłowie, z którymi łatwiej będzie gadać i układy robić.

Otóż wskutek tej sprawy czesko-niemieckiej i my będziemy w początkach Marca wybierali naszych posłów do Rady Państwa. A musimy się dobrze namyśleć kogo wybrać, aby nasze Koło Polskie w Wiedniu składało się z ludzi, umiejących radzić nad dobrem całego państwa i bronić naszych spraw krajowych, aby nam się krzywda nie działa. Niby to łatwo wybrać, a to przecie rzecz najtrudniejsza. Bo tu potrzeba ludzi i mądrych i zacnych, dobrych katolików i Polaków. Niejedenby poszedł do Wiednia, bo jakto mówią: przy dużym ogniu można i własną pieczeń upiec. Ale tu właśnie idzie o to, aby wybrać ludzi niemyślących o własnej pieczeni, ale o dobru kraju. A cóż znowu z tego, jeżeli ktoś ma dobro kraju na oku, ale go bronić nie umie, bo albo mało się uczył, albo nie umie dobrze mówić i to po niemiecku (bo Rada Państwa po niemiecku obraduje). A może być i dobrym mówcą i zacnym człowiekiem, ba! kiedy ma w sobie coś takiego, co go zawsze pcha do niezgody: jak ktoś powie *biało*, to on zaraz *czarno*, a tu chcąc dla kraju coś zrobić, trzeba iść razem, nie kłócić się jak owi Czesi, bo tak jak im niezgoda na złe wychodzi, tak i nam wyjść może. Juźci każdy ma swoje zapatrywanie i wszyscy jednako myśleć nie mogą, ale kto chce, aby było dobrze, ten musi, gdzie koniecznie potrzeba, ustąpić większości, bo chociaż każdy ma swój rozum, to juźcić zawsze dziesięciu lepiej uradzi jak jeden. A co najgorsza, to jeżeli taki poseł niema w sercu wiary i poszanowania dla świętego Kościoła. Taki choćby był i uczony i mowny, to zamiast przyjacielem kraju, stanie się jego wrogiem.

Oprócz tego na jedno jeszcze przy wyborach zważać trzeba. Państwo austryackie składa się z wielu krajów i ludów, a każdy z nich ma swoje osobne potrzeby i życzenia. Wszystkim dogodzić nie sposób, a gdyby każdy upierał się dostać wszystko, czego mu potrzeba, każdy ciągnąłby w swoją stronę, ażby się wszystko rozlazło. Dla tego głowa Państwa, Cesarz, o tem za wszystkich musi pamiętać, żeby oddając każdemu krajowi i ludowi, co mu się należy, nie zaniedbać tego, co dla całego Państwa potrzebne. Sumienny i rozumny wyborca powinien to wiedzieć i rozumieć, że nie ten będzie dobrym posłem, kto złote góry obiecuje a dotrzymać niema mocy, ale ten kto będzie umiał i o dobro kraju gorliwie się starać, i zgody z innymi krajami przestrzegać, i wierności względem Cesarza i Państwa uczciwie dochować.

Tyle na dziś, bo jeszcze do wyborów powrócimy i pomówimy jakto wybierać trzeba, aby praca dla dobra kraju nie poszła na marne, i aby jej Pan Bóg pobłogosławił.

Ziemie polskie.

Wiec polski w Poznaniu, o którego zwołaniu pisaliśmy w poprzednim Nrze *Krakusa*, odbył się w d. 21 Stycznia. Wzięło w nim udział przeszło 2000 uczestników, nietylko ze wszystkich okolic Poznańskiego, lecz i z Prus Zachodnich, a nawet z Warmii i Górnego Szląska. Po zagajeniu wiecu przez p. Maksymiliana Jackowskiego wybrano przewodniczącym p. Kazimierza Chłapowskiego z Kopaczewa.

Pierwszą sprawą, nad którą wiec obradował, był powrót OO. Jezuitów, których wygnał Bismark z całego państwa niemieckiego, bo się ich bał tak samo jak Polaków. Ksiądz Kubowicz wyliczał zasługi Jezuitów i podnosił znaczenie zakonu. Później przemawiał jeszcze p. Chłapowski, poczem uchwalono wysłać prośbę do parlamentu, aby zniósł ustawę wydaną przeciw Jezuitom, ponieważ sprzeciwia się ona zasadzie równości wobec prawa i gwałci zasady wolności Kościoła. Petycya do parlamentu i to jeszcze podnosi, że wobec coraz większej ilości ludzi przewrotnych, ojcowie Jezuici oddadzą usługi społeczeństwu, wykorzeniając swoją nauką i pracą złe, które coraz bardziej się rozszerza. Pomoc ta szczególnie w Poznańskiem jest potrzebną, bo przez walkę Bismarka z Kościołem zmniejszyła się ilość naszego duchowieństwa.

Później wiec obradował nad sprawą szkolną, a mianowicie nad tem, żeby w szkołach uczono w języku polskim, i żeby szkoły były wyznaniowe. Dr. Dziembowski przypominał, że monarchowie pruscy, zabierając nasz kraj, uroczyście zaręczyli zachowanie nam języka i narodowości. Najznakomitsi ludzie, co przez całe życie zajmowali się sprawą nauczania, uznawali to zawsze, że wtedy tylko nauka może być z korzyścią dla uczących się, kiedy się jej udziela w języku ojczystym. Zresztą — mówił dalej p. Dziembowski — wszak my naszym groszem utrzymujemy szkoły ludowe, więc mamy prawo domagać się, aby w polskim języku nasze dzieci uczono. Pan Bóg dał narodom języki, ztąd dla każdego narodu mowa ojczysta jest rzeczą świętą. I tak nas zniemczyć się nie uda, i tak zawsze pozostaniemy Polakami, na cóż więc naszym dzieciom utrudniać nabycie oświaty. Tylko w szkole wyznaniowej mamy pewność, że dzieci nasze otrzymają religijne wychowanie, ale nie w takiej szkole jak dziś, gdzie nauczyciel ewangielik nietylko nie dba, aby dziecko miało miłość dla świętej wiary katolickiej, ale chciałby tej wiary je pozbawić.

Później ksiądz dr. Kantecki miał długą mowę o tem, jako ludzie przewrotni zawiązują się w stowarzyszenia, aby działać przeciw Bogu i porządkowi społecznemu. Chcąc im przeszkodzić, aby nie tumanili naszych braci Polaków, potrzeba zakładać Towarzystwa lub bractwa robotników katolickich. Ale to nie dosyć, trzeba popierać jeszcze pisma ludowe katolickie, co głoszą cześć Bożą i mówią prawdę. Przemówienie swoje tak zakończył ks. Kantecki:

„Pięknie jest powiedziano w psalmie Dawidowym:

O wy, co chlebem nędzy swej żyjecie,
Spiesząc do pracy, jak tylko spoczniecie,
Jeżeli Pańskiej nie macie pomocy,
Na nic się przyda wstawać o północy!
Jeżeli domu sam Pan nie zbuduje,
Daremno nad nim rzemieślnik pracuje,
Jeżeli miasta Pan nie strzeże z góry,
Próżno straż czujna opasuje mury!

„Niech duch, który ożywiał Przenajświętszą Rodzinę, ożywia nasze polskie rodziny tak w pałacach i dworach, jak w domach mieszczańskich i pod słomianą strzechą — niech miłość, zgoda i jedność panuje w całem społeczeństwie polskiem, a żadne knowania ludzi przewrotnych nie zdolają najmniejszej przynieść nam szkody.

A więc bracia dłoń do dłoni
Do ramienia ramię,
Tak złączonych, choć bez broni,
Żadna moc nie złamie.
Nie, nie, nie zginie
Kraj, gdzie cnota w rodzinie,
Gdzie bratnim łańcuchem
Duch łączy się z duchem.

Rzym. Ojciec św. zaziębił się lekko i przez parę dni leżał w łóżku. W d. 22 czuł się zupełnie zdrowy i przyjmował kapitułę laterańską, która przyniosła jak zwykle w dzień św. Agnieszki dwa białe jagnięta, z których runo jest przeznaczone na wyrób poświęcanych paliuszów. (Paliusze są częścią ubioru arcybiskupiego, — a kiedy się je wręcza arcybiskupom, wtedy wręczający w te odzywa się słowa: „Z wełny owczej ten ubiór jest, abyś wiedział, iżeś pasterzem owiec, a nosisz go na ramieniu, abyś wiedział, gdy która owca zabłądzi“.)

Austro-Węgry. Sejmy tyrolski i czeski zostały zamknięte.

W d. 27 b. m. zmarł w Ostrzyhomiu ks. kardynał Jan Simor, książę prymas węgierski. Urodził się w r. 1813 z rodziców mieszczan białogrodzkich. W r. 1857 został biskupem jaworzyńskim, a w r. 1867 arcybiskupem ostrzyhomskim i prymasem Węgier. Jako prymas koronował na króla węgierskiego cesarza Franciszka Józefa. Zmarły wielki dostojnik Kościoła odznaczał się nauką i wielką dobroczynnością. Bronił przytem zawsze gorliwie praw Kościoła. Umarł w chwili kiedy całe Węgry miały obchodzić 25-ty rok jego prymasostwa. Najjaśniejszy Pan przesłał telegraficznie wyrażenie swej „głębokiej boleści z powodu ciosu, jakim został dotknięty kraj i Kościół węgierski.“ Na pogrzeb

przybyli arcyksiążęta Fryderyk i Józef August, wszyscy ministrowie, biskupi, generałowie itd.

Niemcy. W sejmie pruskim obradują nad ustawą o użyciu tak zwanych funduszów obrocznych. Powstały one za Bismarka, który prześladując Kościół zatrzymywał pensye księżom i fundusze pa afialne i dyecezyalne. Obecny rząd postanowił pieniądze te oddać do rozdania komisyom, na których czele będą biskupi.

Chrzest najmłodszego syna cesarza Wilhelma odbył się w d. 26 b. m. Nadano cesarzewiczowi trzy imiona: Joachim, Franciszek, Humbert, te dwa ostatnie na cześć cesarza Franciszka Józefa i króla włoskiego Humberta, którzy byli przez zastępców ojcami chrzestnymi.

Belgia. W d. 24 stycznia zmarł prawie nagle w Bruxelli książę Baldwin, najstarszy syn hr. Flandryi, brata króla belgijskiego. Ponieważ jedyny syn królewski dawno już umarł, przeto książe Baldwin był następcą tronu. Miał on dopiero lat 21 i miał się żenić z księżniczką Klementyną, siostrą arcyksiężny Stefanii, wdowy po arcyksięciu Rudolfie. Obecnie następcą tronu belgijskiego jest brat zmarłego księcia Baldwina, szesnastoletni książę Albert, który dowiedziawszy się o śmierci brata ciężko zachorował.

Bułgarya. Moskale zażądali od rządu bułgarskiego, aby wydalił z kraju tych wszystkich poddanych, co są podejrzani o nieprzychylność dla rządu rossyjskiego. Bułgarzy na to mówią: „a dlaczego u was w Rossyi spokojnie przesiadują ci Bułgarzy, co spiskowali na naszych książąt, Aleksandra i Ferdynanda?“

Na granicy serbsko-bułgarskiej wystawili Bułgarzy wiele wojska.

Brazylia. Mówili Brazylijczycy, że im źle z cesarzem Dom Pedrem i zmusili tego zacnego monarchę, co zniósł w Brazylji niewolę, do opuszczenia tronu. Ale jakoś gorzej im bez cesarza, bo oto jak zaczęli się kłócić, tak teraz niewiadomo kto będzie rządził. Wszyscy ministrowie podali się do dymisyi, a prezydent Fonseca, ten co najwięcej dokuczył cesarzowi, będzie pewnie musiał złożyć swą prezydenturę.

Chili. Powstanie wciąż się rozszerza. Powstańcy zajęli przylądek Pasagna.

Rady gospodarskie.

Jakie rośliny rosną najlepiej na świeżem nawiezieniu.

W zeszłym Nrze *Krakusa* napisaliśmy o wywożeniu nawozu stajennego w zimie, należy teraz zastanowić się nad tem, jakie rośliny wypada siać lub sadzić na nawozie, wywiezionym w zimie lub na wiosnę.

W ogóle, wszelkim płodom gospodarskim pożyteczniejszym jest nawóz stajenny, gdy dany jest wcześniej i rozłoży się już w ziemi, nim one zasiane zostaną; niektóre jednak z nich znoszą świeże nawiezienie lepiej aniżeli inne. Do pierwszych należą przedewszystkiem mieszanki, skarmiane w stanie zielonym, następnie bób i niektóre rośliny okopowe, jak kukurudza i kapusta, nareszcie z konieczności kartofle i buraki, a ze zbóż kłosowych jedynie owies, nigdy zaś pszenica wiośniana lub jęczmień.

O ile więc stosunki gospodarskie dozwalają, siać należy na świeżym nawozie mieszanki, złożone z wyki, owsa i grochu. Są one dobrym przedplonem pod żyto, rosną bujnie, ocieniają ziemię, niszczą chwasty, a dając obfitą paszę, spulchniają należycie rolę. Skoszone przed zakwitnięciem, nie wyczerpują ziemi w tym stopniu jak inne rośliny i pozostawiają prawie cały nawóz do spożytkowania.

Bób rośnie na świeżym nawozie o tyle dobrze, o ile tenże bardzo wcześnie na wiosnę przyoranym być może, a następnie gdy padają deszcze dosyć często. Roślina ta wymaga dużo wilgoci do należytego rozwoju swego, oraz dłuższego czasu do dojrzenia, zatem zbyteczne wysuszanie roli wskutek przyorania nawozu dopiero na wiosnę, jak oraz opóźnianie siewu jest dla niej szkodliwe. Spóźniony zbiór bobu przeszkadza również wczesnemu zasianiu pszenicy w jesieni, której jest zwykle przedplonem.

Groch siany na świeżym nawozie obornikowym, co zdarza się dosyć często, rośnie bujnie, lecz kwitnie zbyt długo, a osadza mało strączków, które dojrzewają niejednostajnie, zatem plon w ziarnie bywa zwykle bardzo szczupły. Lepiej jest więc użyć go jako paszę zieloną.

Najczęściej wszakże sadzane u nas bywają na świeżym nawozie kartofle, a to z powodu braku nawozu w jesieni, któryby wywieźć i przyorać można przed zimą. Prawda, że znoszą to one dosyć dobrze i dają plony obfite, są jednak mniej smaczne, wodniste, nie rozsypują się po ugotowaniu, a w roku słotnym gniją o wiele łatwiej, aniżeli gdy sadzone są w drugim dopiero pożytku po nawiezieniu.

W następnym numerze tego pisma pomówimy o uprawie rozmaitych roślin, które na wiosnę siewane bywają, obecnie przypominamy ponownie o konieczności wczesnego zamówienia nasion, oraz nawozów handlowych, jeżeli ich użyć zamyślamy.

A. Lippoman.

Rozmaitości.

O Ameryce. W poprzednim numerze *Krakusa* w artykule o Brazylii pisze p. Nestorowicz, że wielu Polaków, którym ciężko w Brazylii, wybiera się do Ameryki Północnej, do tak zwanych Stanów Zjednoczonych. Ale że i tam raju niema, to o tem bardzo dawno wiadomo. Jednemu lub drugiemu się poszczęści, boć nie ma miejsca na świecie, gdzieby się komuś nie poszczę-

ściło, ale ilu wychodźców cierpi nędzę, to opisać trudno. Oto niejaki niemiec nazywający się Bürger powróciwszy z Ameryki takie przynosi z ostatnich dni wiadomości.

„W zatoce Chesapeake koło Baltimore — pisze ów Bürger — pracuje na okrętach, zajmujących się łowieniem ostryg, wielka ilość Niemców (a zapewne i Polaków), którzy muszą pracować jako niewolnicy i otrzymują tyle tylko pożywienia, ile potrzeba, ażeby nie umrzeć z głodu. Zamiast zarobku zaś dostają tylko buty nieprzemakalne i olejem napuszczane kurtki. Kapitanowie takich statków płacą ajentom za robotników po 10 dolarów (20 złr.) i więcej, a gdy robotnik taki dostanie się raz na okręt, to już nigdy lądu nie zobaczy. Musi on pracować od 3 rano do 6 wieczorem, a gdy zechce mu się uwolnić od służby, wtedy grożą mu rewolwerem.

„Wiele z tych okrętów pracuje w miejscach, gdzie rząd nie pozwala łowić ostryg. Wskutek tego wszczynają się niejednokrotnie walki pomiędzy tak zwanymi statkami rozbójniczemi, a okrętami rządowemi. Naturalnie najgorzej na tem wychodzą robotnicy. Gdy nie chcą walczyć z okrętami rządowymi, bywają do tego przymuszani głodem i rewolwerem, a gdy dostaną się w ręce rządowych, wtedy czeka ich albo rozstrzelanie albo ciężkie długoletnie więzienie.

„W listopadzie zeszłego roku przyaresztowano w państwie Massachusetts pewnego fermera, nazwiskiem Pansons, który przywiózł na targ jakiegoś Polaka, okutego w kajdany, ażeby go na licytacyi oddać jako niewolnika więcej dającym. Nieszczęśliwy leżał na słomie w odkrytym wozie, przymocowany do niego grubym łańcuchem. Jęczenie biedaka zwróciło uwagę znajdujących się na targu. Władze przyaresztowały Pansonsa, lecz po jednodniowem więzieniu wypuściły, ponieważ wstawił się za nim jeden z jego przyjaciół, taki sam handlarz zapewne.

„Pansons handlował niewolnikami, przeważnie Polakami, od kilku lat. Zapisywał on ich sobie albo wprost z Europy, albo brał od ajentów nowojorskich. Przyobiecywał on im po 12 dolarów miesięcznie wraz z całkowitem utrzymaniem. Dostawszy ich jednak w swe ręce, nic im nie płacił, żywił kiepsko, kazał dużo robić, a opornych zmuszał głodem i kijem do zachowywania się spokojnie“.

Wydział Rady powiatowej w Myślenicach wniósł podanie do Wydziału krajowego o uwolnienie gmin od obowiązku płacenia kosztów komisyjnych w sprawach czysto wojskowych, a mianowicie za sprawdzanie w gminach spisu popisowych i obowiązanych do pospolitego ruszenia, za klasyfikowanie koni popisowych i t. d.

Spleśniały chleb lubią niektóre gosposie dawać kurom do jedzenia. Taki spleśniały chleb jest dla kur niezdrowy, i wywołuje w nich różne choroby. Najlepiej tedy taki spleśniały chleb ugotować i potem dać je dla drobiu.

Skutki pijaństwa. W Anglii w przeciągu 20 lat wzrosła liczba waryatów z 55 tysięcy do 100 tysięcy, a wszyscy ci nieszczęśliwi dostali obłąkania tylko z pijaństwa, bo o takich tylko waryatach jest tu mowa. Skarzą się tam, że wiele szczególnie kobiet biednego stanu oddaje się pijaństwu i potem dostaje obłąkania umysłowego. Straszna to przestroga dla wszystkich, którzy się oddają temu szatańskiemu nałogowi.

Fraszki.

Najlepiej jest łgarzom powierzyć tajemnicę, bo choć ją wyplotą, to im nikt nie uwierzy.

Musi być nasza Galicya już stara, kiedy aż *Brody* ma.

Nikt takiej niewdzięczności nie doświadcza jak piec: on ogrzewa ludzi, a oni się tyłem do niego obracają.

Żyd nie chce mieć nikogo na kwaterze, ale na kwaterkę radby każdego zaprosić.

Podróżny, idący piechotą, spotkał w drodze żyda i mówi do niego: „Pożycz mi reńskiego, dam ci na zastaw płaszcz pod przepadkiem, jeżeli go dziś nie wykupię.“ Żyd pod tym warunkiem pożycza reńskiego i bierze płaszcz w zastaw. Przy końcu dnia, gdy dochodzą obadwa do miasta, podróżny oddaje żydowi reńskiego i płaszcz swój zabiera, mówiąc: „Dobrze, żeś mi ten płaszcz aż tu przyniósł, bo mi go ciężko było dźwigać“.

Zagadka.

Siedzi czapka na górze
I przygląda się chmurze;
Choć cygara nie pali,
To jej z gęby dym wali.

Znaczenie zagadki w Nrze 4-tym: *Anna*, (Hanna, manna, panna, sanna, wanna).

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 27 stycznia.

Płacono za pszenicę białą od 9.— do 9.30 złr., za czerwoną od 8.80 do 9.25 złr., za żółtą od 8.80 do 9.20 złr.; za żyto od 6.95 do 7.30 złr.; za jęczmień browarny od 6.75 do 7.50 złr.; na paszę od 6.— do 6.25 złr.; za owies od 6.25 do 6.50 złr.; Rzepak od —.— do —.—. Wszystko za 100 kilogramów.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.